ROK PIĄTY.

№ 20.

WARSZAWA

d. 1 (13) maja

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

5ta po Wielkiej-Nocy.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Chcesz bogate dziedzictwo zostawić synom, zostawże im jałmużnę; biada, który jałmużny i dobrych uczynków nie czyni. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Tęsknota na polu.

Płakać mi się chce,
Czego? Pan Bóg wie...
Takie śliczne ziemi łono,
Tak zielono, precz zielono,
A tak smutno mnie!

Tam niby we mgle
Czernią góry, wsie,
Po wąwozach niby pasy
Niebieszczeją bujne lasy,
Płakać mi się chce.

Po błękitnem tle
Chmurka sunie się,
Tak spokojnie płynie, płynie,
Wnet i lasy tamte minie...
Płakać mi się chce.

Płakać mi się chce:
W polu olchy dwie,
Kruk poleciał nad łąkami,
Pwtarzając jęk chwilami,
Czajka waży się.

Płakać mi się chce:
Łąka zniża się,
Kosiarz kosę ostrzy w dole,
Jak cień małe tam pacholę
Przez rzeczułkę brnie.

Wolny wietrzyk dmie,
Szmer dokoła mknie,
Pochylą się w bruzdach kłosy,
To znów patrzą na niebiosy...
Płakać mi się chce.

Płakać mi się chce:
Chwast niewiasta rwie,
Chyla się i krakowiaka
Nuci, nuta smętna taka,
Ciężko wstrzymać łzę.

Oko zwilża się,
Biedne serce me!

Czy swą młodość przypomina,
Czy to taka już godzina,
Że się płakać chce?

Żona aniołem stróżem.

Prawdę mówią, że dobra i poczciwa żona,
Owa druga połowa w niebie naznaczona,
Jest osłodą trosk męża i domu ozdobą,
I wszelkie przeciwności dźwiga z nim pospołem,
I jakby silną tarczą osłania dom sobą,
A i honoru męża jest stróżem aniołem.

Znanemi są powszechnie gorliwe usiłowania jednej z najdawniejszych instytucyj miejscowych, Towarzystwa Dobroczynności, które pragnąc o ile możności przychodzić w pomoc niedostatkowi i nieść ulgę uboższym mieszkańcom Warszawy, używa ku temu rozlicznych środków.

W czasach mianowicie powszechniejszej niedoli, jakiej przyczynami bywają: drożyzna, wylewy Wisły, cholera, ostre a długo trwałe zimy i t. p., czynność jego podwaja się. Wtedy oprócz stałych opiekunów cyrkułowych, rozmaici członkowie wyznaczeni zostają z grona Towarzystwa do zbierania kwesty w oznaczonych rewirach (częściach miasta)— i doświadczenie naucza, iż nigdy odwołanie się do miłosierdzia i współczucia zamożniejszych mieszkańców stolicy nie pozostało bez skutku. Warszawa bowiem, wyznać to możemy bez próżnej chluby, każdą myśl szlachetną, każde usiłowanie poczciwe chętnie podejmuje i wspiera, i pod tym, jak i pod wielu względami daje przykład.

Zima r. 1844 na 1845 była długą i ostrą: silne mrozy trwały nieprzerwanie do końca miesiąca marca. Święta Zmartwychwstania Pańskiego obchodzone były wśród mrozu 20tu dochodzącego stopni. To też lud biedny dotkliwie to uczuł, tem więcej, że cena drzewa wzrosła niesłychanie, skutkiem czego wielu z wyrobników, a nawet mniej dostatnich rzemieślników przyszło prawie do nędzy. Nie są to tak odległe czasy, i zapewne niejeden z was czytelnicy zimę tę dobrze pamięta. W tem położeniu Towarzystwo Dobroczynności śpieszyło z niesieniem swej pomocy nieszczęśliwym już to otwarciem obszernych ogrzanych sal, już też obfitszem udzielaniem bezpłatnie gorącego posiłku, tak zwanej *zupy rumfordzkiej*, już wreszcie rozdawaniem i rozsyłaniem bezpłatnie drzewa na opał. Rzecz naturalna, że na tak pomnożone wydatki, zwykłe fundusze Towarzystwa nie wystarczały, i że trzeba było uciec się nanowo do miłosierdzia bogatszych, ażeby pośpieszyli na ratunek uboższej swej braci.

Jednym z członków upoważnionych do zbierania kwesty na drzewo, był kupiec sukienny i obywatel miasta, którego Karolem Dobruckim nazwiemy. Owóż ten pan Dobrucki, jakkolwiek handel jego nie należał do bardzo kwitnących, przez co też i niewielkie miał z niego korzyści, ograniczeniem potrzeb domu, rządnością zacnej małżonki i ścisłem miarkowaniem wydatków do skromnych dochodów, potrafił wywiązywać się zawsze jak najsumienniej ze wszelkich swych zobowiązań; uważanym też był powszechnie za człowieka czyniącego zaszczyt swemu powołaniu. Życie jego było nader regularne: pobożny, uczynny dla wszystkich, miłosierny o ile mu na to niewielkie jego środki pozwalały, dobry mąż i ojciec, poważanym i lubionym był od wszystkich, co go bliżej poznali. Jednego wszakże dopuszczał się zbytku: nawykłszy zdawna uczęszczać codziennie na bawaryę, gdzie się schodził z przyjaciołmi i znajomymi i w ich gronie całe spędzał wieczory, nie zdołał sobie dotąd przyjemności tej odmówić, która bądź co bądź, zawsze jednak co wieczór po parę złotych wyciągała mu z kieszeni. Kiedy jednak owa mroźna, a długa zima wywołała potrzebę większego zasiłku dla biednych, i kiedy zaszczycony zaufaniem Towarzystwa Dobroczynności, powołany został do zbierania kwesty, powiedział sobie: „Karolu! pieniądze, jakie tak bezpożytecznie marnujesz, mogą niejednemu z twych bliźnich otrzeć łzy niedoli. Zaprzestań więc uczęszczać na bawaryę, a grosz ztąd oszczędzony dołącz do ofiary dla biednych, niemających ciepłego kącika wśród tak ostrej zimy! I wyrzekł się złego nałogu, i czasami tylko w święto wieczorkiem na bawaryę zajrzał.

Widzimy z tego, że pan Karol nietylko był człowiekiem porządnym i uczciwym, ale

że miał nadto szlachetne niekiedy uczucia, czyniące go zdolnym w potrzebie do ofiar: gdyż otrząśnięcie się z długiego nawyknienia i to nie dla własnego lecz dla bliźnichdobra, nie jest rzeczą tak małą, jak się to napozór wydaje. To też zadowolony wewnętrznie, był zawsze raźny, wesoły i dla każdego dobre miał słowo. Niemało też zdziwiło jego znajomych i przyjaciół, gdy od jakiegoś czasu zauważyli niepokój i chmury na jego zwykle pogodnem czole; pozostawał on, bywało, przez całe godziny nieruchomy i pogrążony w myślach, jak człowiek ścigany smutnemi przeczuciami, lub trawiony niespokojnością i troską o przyszłość. Jedni przypisywali to zmartwieniom domowym, inni kłopotom handlowym, a byli nawet i tacy pomiędzy mniej życzliwymi, co przypuszczali, że interesa jego szły niedobrze.

O ile w przypuszczeniach tych było prawdy, objaśni nam to następująca pomiędzy p. Karolem Dobruckim, a jego żoną rozmowa, jaka miała miejsce w kilka dni po ukończeniu kwesty, przez Towarzystwo Dobroczynności zarządzonej.

Byłoto wieczorem; pani Dobrucka siedziała z robotką w ręku przy stoliku, oświeconym niewielką lampą. Była blada i wzruszona: drżące jej wargi szeptały cichą modlitwę. Co chwila kładła robotę i nadsłuchiwała z natężeniem; zdawała się oczekiwać kogoś z niecierpliwością.

Tak mijały godzina za godziną, nareszcie dał się słyszeć szybki bieg po schodach i wszedł p. Karol Dobrucki. Twarz jego zwykle jasna i pogodna utraciła tym razem swój wyraz: malowały się bowiem na niej znużenie i boleść.

Jak tylko Dobrucki zamknął drzwi za sobą, natychmiast żona zapytała się go z niespokojnością:

— A cóż Karolu! dostałeś pieniędzy?

— Nie, odrzekł mąż, padając wycieńczony na krzesło; odwłóczą mnie ode dnia do dnia, ciągłe obietnice, a pieniędzy ani grosza! Tak więc, rzekł dalej z westchnieniem po chwilowem milczeniu, pozostaje mi jeden tylko środek... owe 150 talarów, które mi p. Majer przyrzekł oddać w przyszłą sobotę, to jest od dziś za tydzień.

— Cóż więc poczniesz do tego czasu?

— Nic jeszcze nie wiem.

— A czy widziałeś się z p. Twardoszem?

— A to na co?..

— Ażeby mu oświadczyć, iż go zaspokoimy od dziś za tydzień, jak tylko p. Majer odda należne ci pieniądze.

— Toby się nie zdało na nic... odmówi mi nowej zwłoki, bez której się też i obejść mogę. Mam pewność, pewność zupełną otrzymania owych 150 talarów od dziś za tydzień; tymczasem zaś odpowiednią summę pożyczę.

— Od kogo?

Karol się zawahał, zaczerwienił jak winowajca złapany na gorącym uczynku i jąkając się, odrzekł:

— Ależ... od nikogo...

— Jak to od nikogo?

— Tak jest, od nikogo; nie mamże u siebie pieniędzy zebranych z kwesty dla biednych?

— Karolu!.. zawołała p. Dobrucka, przerywając z żywością mężowi, co ty mówisz? Pieniądze te winny być dla nas święte, bo są nie nasze; jest to skład uczciwości naszej zwierzony, który tém dla nas winien być świętszym, że zawiera fundusze należące do biednych. Tobie niewolno go tknąć, niewolno ci wziąć z niego jednego nawet grosza, chociażby na pięć minut tylko.

— Ależ moja droga, odrzekł Karol tonem zdziwionym i upokorzonym zarazem; jakże się zaraz unosisz!.. słysząc cię, możnaby sądzić, że chcę ukraść te pieniądze...

— Nie masz zarówno żadnego prawa pożyczać z nich Karolu!..

— Dlaczego?

— Tak jest; nie masz do tego żadnego prawa. Pieniądze te nie istnieją dla ciebie, uważać je powinieneś tak, jak gdyby przelane już były do kassy Towarzystwa Dobroczynności.

— Ależ moja droga, nie pojmujesz mnie dobrze, jak widzę; posłuchaj więc mię nieco i powiedz mi bez uprzedzenia: czy skoro na pierwszego przyszłego miesiąca, jako w terminie do wniesienia zebranych ofiar naznaczonym, będę w gotowości wniesienia całkowitej uzbieranej przezemnie summy do kassy, uczyni to jaką różnicę, że ją oddam nie w tych koniecznie sztukach monety, w jakich ją otrzymałem, lecz że je zastąpię innemi przy zwrocie pożyczki?... a mam do tego czasu aż nadto, gdyż do naznaczonego terminu jest prawie trzy tygodnie.

— A jeżeli cię p. Majer zawiedzie, jak to już o ile pomnę, nieraz miało miejsce, cóż wtedy poczniesz?

— Oh! o to bądź spokojna; tym razem mię nie zawiedzie, odrzekł mąż z przekonaniem. Przedstawił mi dokładnie swoje położenie, stan swych interesów, wykazał mi, co i kiedy ma odebrać... Nie mam więc w tej mierze najmniejszej obawy, i liczę na te 150 talarów, jakbym miał je już w kieszeni.

— Idź więc do p. Twardosza i staraj się go przekonać za pomocą tych samych rozumowań i dowodów, jakiemi cię tak dobrze przekonał i upewnił p. Majer, rzekła żona, zatrzymując na mężu wzrok pełen trwożliwej nieufności.

— To byłoby napróżno, moja Maryniu, odpowiedział mąż; gdyż aby ci całą prawdę wyznać, to mi p. Twardosz stanowczo wczoraj zapowiedział, że jeżeli go jutro do godziny 10ej zrana nie zaspokoję, to komornik zejdzie do mnie o 12ej. Widzisz więc moja droga, że się w tem położeniu wahać nie można i że się potrzeba uciec do pieniędzy składkowych.

— Nie widzę tego wcale, odrzekła żona ze stałością, jakiej się mąż po niej bynajmniej nie spodziewał.

— Wielkie z ciebie dziecko Maryniu! zawołał mąż z przymuszonym uśmiechem. Jest to z twej strony nieuzasadniony upór, i sprzeczasz się ze mną dlatego jedynie, aby się sprzeczać.

— Nie jest to bynajmniej upór, jestto uczucie prawości Karolu, odrzekła żona, a twarz ej zajaśniała dziwną pięknością.

— Ależ jeżeli nie zapożyczę z tego funduszu potrzebnych mi pieniędzy na zapłacenie Twardosza, to zostaniemy zniszczeni, zrujnowani; kredyt mój, który wisi zaledwie na włosku, z przestąpieniem progu przez komornika w zupełności upadnie, a brak kredytu, to śmierć dla handlu, to bankructwo, to nędza i kij żebraczy dla nas.

— Jeżeli zaś z nich pożyczysz Karolu, to się odważysz na więcej, bo się odważysz na hańbę, na niesławę poczciwego imienia, odrzekła żona głosem pewnym i spokojnym, który zachwiał umysłem męża.

— Cóż więc mam zrobić nieszczęśliwy? zawołał z bolesną niepewnością.

— To, cobyś zrobił, gdyby pieniędzy tych nie było.

— Ależ one są!

— Powiedziałam ci już raz, żeś je powinien uważać za niebyłe.

Mąż stracił cierpliwość i uciekł się do zwykłego sposobu, używanego przez tych, co nie mają za sobą słuszności; zaczął się unosić:

— A więc mamy czekać spokojnie, aż nas stradują? zawołał, chodząc wielkiemi krokami po pokoju.

— Jeżeli niema środka *uczciwego* do uniknienia tego nieszczęścia, odrzekła żona, nadając szczególny nacisk wyrazowi *uczciwego*, to niechaj się dzieje wola Boża!.. przynajmniej nie będziemy mieli nic sobie do wyrzucenia.

Dobrucki przechadzał się czas jakiś wolnym krokiem, trąc ręką czoło: ciężka walka toczyła się w jego umyśle pomiędzy obawą ruiny, która popychała go do chwycenia bądź co bądź jedynego środka, jaki mu pozostawał do zaspokojenia groźnego wierzyciela, a nieskażoną dotąd prawością charakteru, której głos wewnętrzny mówił mu podobnie jak żona: *Karolu! pieniądze te są święte, są to pieniądze ubogich; tknąć je byłoby zbrodnią!...*

Marya na obliczu męża widziała cały przebieg toczącej się walki; zauważywszy chwilę wahania się, jak czujny stróż anioł pochwyciła ją zręcznie, by przechylić postanowienie jego na stronę dobrego. Kiedy bowiem sumienie szeptało mu przytoczone powyżej wyrazy, wstała, ujęła męża za rękę i popatrzywszy mu w oczy, wzrokiem pełnym przywiązania i słodyczy, rzekła:

— Karolu! mój dobry Karolu! zrób mi jednę łaskę...

— Cóż takiego? zapytał kupiec.

— Pozwól mi odnieść te pieniądze do kassyera Towarzystwa Dobroczynności... Opowiem mu, co zaszło, to jest, dodała zniżając głos, jakby w obawie, aby nie być słyszaną, powiem mu od ciebie, że w obawie skutków jutrzejszej wizyty sądziłeś swoją powinnością złożyć bezzwłocznie fundusze z kwesty zebrane na jego ręce, aby wypadkiem pieniądz ubogich uronionym nie został. Zróbmy to Karolu, oddalmy pokusę; jestto najlepszy środek, ażeby nie upaść i powstać uczciwymi.

— Tak! tak, zawołał Dobrucki, chwytając się tej myśli, jak rozbitek deski ocalenia. Zabierz czemprędzej nieszczęśliwe te pieniądze, i wynieś je z domu. Oddalmy od nas tę zgubną pokusę; masz słuszność moja żono, Bóg cię tą myślą natchnął... Gdyby nie ty, byłbym ściągnął rękę do pieniędzy ubogich! Idź, idź, droga moja przyjaciołko!

Marya tego tylko czekała: za chwilę była już na ulicy. Odgłos drzwi zamykających się za nią oznajmił Dobruckiemu, że honor jego został ocalony z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło.

— O Boże! Boże, zawołał wtedy, załamując ręce, zmiłuj się nad nami nieszczęśliwymi!... Cóż my biedni teraz poczniemy?

* * *

Nazajutrz w południe komornik ze zwykłą assystencyą stawił się w mieszkaniu Dobruckiego i spisał akt zajęcia.

Dobrucki idąc za radą żony, udał się do swego wierzyciela i powtórzył mu zapewnienia poczynione przez Majera; p. Twardosz zgodził się poczekać do przyszłej soboty.

Sobota oczekiwana nadeszła, a Dobrucki udawszy się do mieszkania swego dłużnika Majera, dowiedział się z przerażeniem i rozpaczą, że ten spieniężywszy wszystko co posiadał, uciekł za granicę. Dłużnym on był Dobruckiemu znaczne summy, których strata przyprawiła tego ostatniego o zupełną ruinę.

Uderzony jakby gromem, powlókł się nieszczęśliwy do mieszkania p. Twardosza, któremu oznajmiwszy o wypadku, jaki go spotkał, oraz o smutnych następstwach, jakie pociągał za sobą, zażądał zwołania wszystkich swych wierzycieli na wspólną naradę dla obmyślenia środków, jakie pozostawały do pokrycia ich należności.

Niektórzy z zebranych na naradę wierzycieli, mianowicie zaś Twardosz byli, za użyciem całej surowości prawa względem niewypłacalnego kupca. Wtem powstał jeden z nich, który dotąd nie zabierał głosu i rzekł:

— Panowie! wierzytelność moja jest nie wielką i nie byłbym się tu stawił, gdybym nie miał innego celu, niż udowodnienie praw moich. Przyszedłem tu dlatego, aby wam odkryć czyn jeden, którego znajomość usposobi was jak mniemam przychylniej nieco dla nieszczęśliwego naszego dłużnika. Był on, jak to wam zapewne wiadomo, upoważnionym przez Towarzystwo Dobroczynności, którego mam zaszczyt być kassyerem, do zbierania kwesty na drzewo dla biednych. Termin do przelania uzbieranych na ten cel funduszów do kassy Towarzystwa nie był jeszcze nadszedł, kiedy drugi tydzień temu, późnym już wieczorem nadbiegła do mieszkania mego na Podwalu pani Dobrucka, przynosząc ukwestowane przez męża jej pieniądze w kwocie rs. 300, z oświadczeniem, iż gdy mąż jej dla chwilowych kłopotów handlowych nie będzie zapewne mógł w terminie pieniędzy do kassy sam oddać, prosi mię usilnie, abym go w tej mierze zastąpił. Otóż panowie! gdyby Dobrucki był człowiekiem nieuczciwym, mógłby był z tych pieniędzy czerpnąć potrzebny fundusz na zaspokojenie naglącej wierzytelności pan Twardosza. Nie uczynił tego jednakże; były one dla niego świętemi. Nie mam ja bynajmniej zamiaru żądać dlań nagrody za czyn ten zwyczajnej prawości, sądzę wszelako, iż człowiek, który umiał oprzeć się podobnej pokusie, jest człowiekiem honoru, i że nie należy go traktować na równi z nędznikami, co w podstępnych bankructwach zysków dla siebie szukają. Postępek ten p. Dobruckiego jest niewątpliwą rękojmią, że nas wszystkich zaspokoi, jak tylko uczynić to będzie w możności; zostawmy mu więc potrzebny czas do tego. Wszyscy co tu jesteśmy, wiemy dobrze, iż upadek jego obecny nie pochodzi ani ze zbytków, ani z nieładu w handlu i interesach, ale z nadużycia dobrej jego wiary przez zręcznego oszusta, której padł ofiarą. Powiedziałem wam panowie, co powiedzieć sądziłem moim obowiązkiem, mniemam, iżeście mię pojęli, i że odstąpicie od zamiaru użycia przeciw nieszczęśliwemu surowości prawa, którego celem jest karać złą wiarę i podstęp, nie zaś niezasłużone nieszczęście.

Dobrucki podczas całej tej przemowy siedział z głową spuszczoną; zapłoniony wstydem i zgryzotą sumienia, chciałby był ukryć się pod ziemię. Pochwały mu oddawane, spadały na jego serce jak najkrwawsze wyrzuty. Zdawało mu się, iż każdy z jego niepokoju i pomieszania wyczyta ową walkę z pokusą, której byłby zapewne uległ, gdyby nad nim

nie czuwał stróz anioł w postaci zacnej jego żony.

Inaczej się jednak stało; wszyscy spojrzeli nań ze współczuciem i politowaniem. P. Twardosz główny wierzyciel Dobruckiego, oświadczył pierwszy, iż oceniając prawość charakteru swego dłużnika, gotów jest pozostawić mu dwa lata czasu do uiszczenia się z długu. Inni wierzyciele nie chcieli okazać się mniej szlachetnymi i podobneż uczynili oświadczenie. Akt przedłużenia zaraz na miejscu sporządzony i podpisany, wręczony został Dobruckiemu przez pośrednictwo zacnego kassyera Towarzystwa Dobroczynności, którego odkrycie głównie się do ocalenia przyczyniło.

Dobrucki powrócił do domu szczęśliwy, ale zarazem upokorzony i zawstydzony; czuł bowiem dobrze, że to nie jemu należała się zasługa owego prawego czynu, który w nim wynagrodzono. To też wszedłszy do mieszkania, upadł przed żoną na kolana, opowiedział jej co się stało, i ze łzami w oczach dziękował jej za ocalenie go od hańby i nędzy.



— Wstań Karolu, odrzekła mu poczciwa ta kobieta, nie masz sobie bowiem nic do wyrzucenia. Pokusa była silna, aleś się jej przy łasce Bożej oprzeć potrafił. Niebo było świadkiem twej walki i twego zwycięztwa; to, co cię spotkało, jest jego nagrodą i dowodem, iż Bóg nas nie opuścił. Korzystajmy z tej nauki i starajmy się wpoić w synów naszych mądrość tej zasady:

Każdą sposobnośc do dobrego chwytaj,
Czyń, coś powinien, o resztę nie pytaj!

—

Dla zaspokojenia troskliwości naszych czytelników o los zacnej tej pary dodamy, że pomyślne następne lata przy podwojonej pracowitości i oszczędności postawiły ją w możności zaspokojenia swych wierzycieli i dojścia nawet do większej niż kiedykolwiek zamożności; gdyż wypadek ten, który w swoim czasie dysyć był głośnym, sprowadzał licznych do handlu kupujących, a synowie wzrośli na poczciwych przykładach, są dziś ozdobą i zaszczytem kupieckiego stanu.

Oboje starzy Dobruccy żyją dotąd i są dla innych wzorem zgodnego pożycia. Nieraz on sam przypomina w gronie dziatwy pamiętny dlań wypadek roku 1845, i spoglądając wtedy z dumą na żonę, powtarza żonom swych synów: Bierzcie dzieci przykład z waszej matki, bo dobra i przywiązana żona dla męża i rodziny jest prawdziwym aniołem stróżem!

O podaniach ludowych.

IV.

—

Jest gminna powiastka o Aniele Gabryelu, czyli skrytych sądach Bożych. Chrystus Pan, mówi baśń ludowa, posłał był Anioła Gabryela po duszyczkę młodej dzieciny, jedynego owocu czułej miłości długo bezpotomnego małżeństwa; a tem większa była radość rodziców, że dziecko to było nadzwyczajnej piękności. Nadzwyczajnie też się doń przywiązali, przez co obojętnymi się stali na bliźnich swoich cierpienia; a bez braterskiej miłości, bez spełnienia powinności, niema dla duszy zbawienia. Pięknem musiało być to dziecię, kiedy sam Anioł Gabryel ulitował się jego piękności, ulitował matczynej żałości, i duszyczkę w ciele pozostawił. Za nieposłuszeństwo to skazał go Pan Bóg na wygnanie przez rok z nieba, bo i w niebie karać trzeba: kazał ludzką przybrać postać, z niebios spuścić się na ziemię, i tam sługą człeka zostać, znosić różnych cierpień

brzemię; służyć wiernie przez rok cały, nim do dawnej wróci chwały.

Otóż anioł Gabryel w postaci ślicznego młodziana niezadługo znalazł pana; był nim biskup człek sędziwy, na cierpienia ludzkie tkliwy, pełen cnoty i pokory, co swe biednym rozdał zbiory, skarbił tylko nieba łaski, ztąd świętemi jaśniał blaski. W tej służbie spędził Gabryel większą część swej kary: już dobiegał roku miary, kiedy biskup wybrał się w objazd swej dyecezyi i dla odwiedzenia po raz może ostatni przed śmiercią swych krewnych i przyjaciół, a kazał Gabryelowi w podróży tej sobie towarzyszyć.

Zajechali najpierw do bogatego dworu, gdzie zastali wszystkich we łzach, bo poprzedniej właśnie nocy dobrzy państwo jedyne swe dziecię stracli: rozpacz rodziców nie znała miary, z dopuszczenia Bożej kary. Zacny starzec serdecznie boleść ich podzielał, sercu swe mu się nie bronił, i z drugimi łzę uronił. Przeciwnie Gabryel zawsze dobry czuły i tkliwy, wbrew ogólnemu smutkowi, nie oddawał się żalowi, a nawet dziwnie był wesoły, że aż przykro biskupowi. Wszakże nic jeszcze nie mówi, ale czeka, co to będzie?

W dalszej drodze zajechali do starożytnego zamku, gdzie trafili na pogrzeb dziedzica; był to stary kutwa i skąpiec, który zebrawszy lichwą ogromny majątek, nikomu za życia złamanego nie dał grosza. Najbliższa jego uboga rodzina żyła w nędzy; łatwo więc pojąć, iż śmierć obrzydłego lichwiarza nie sprawiła nikomu boleści, ale owszem wszyscy ją jako wypadek radosny powitali. Gabryel tylko za wstąpieniem w progi pałacu, od płaczu utulić się nie mógł: łkał i jęczał boleśnie, że aż dziwno biskupowi, ale nic mu znów nie mówi, tylko czeka, co to będzie?

Opuściwszy ową wioskę nazajutrz, gdy parę mil ujechali, kazał biskup przystanąć przed karczmą dla wytchnienia koniom i wysiadł z pojazdu. Przed karczmą siedzieli przejezdni za stołem, zapijając piwo i gwarząc pospołem. Biskup przechadzając się, mówił pacierze; wtem postrzega zdumiony, że Gabryel ulubiony, co się niezbożnością poprzedniego dnia zmazał, klęka i bije pokłony. Więc się mocniej zafrasował, bo pojmował to dowodnie, że kto czyni tak niegodnie, to wyraźnie już zwarjował.

W powrocie ku domowi opuściwszy sąsiednie miasteczko, spotkali młodego chłopka, gospodarza z dóbr biskupich, który niósł na plecach kilka par butów. Biskup pozdrowił go uprzejmie i pytał na coby robił taki duży zapas obuwia?

A chłopek na to:

— Przydać się nie na jedno lato.

Wtedy Gabryel w głos się roześmiał i zawołał:

— O głupi człowiecze, któż przyszłość docieczе? Ty na długie czasy, czynisz swe zapasy, a kres niedaleki, że zamkniesz powieki. Myślisz żeś rozumny, na wsze nogi kuty; na co ci do trumny, zakupione buty?

Spojrzał biskup z nieukontetowaniem i podziwieniem na Gabryela, ale że już byli niedaleko domu, nic mu więc nie mówił.

Pod samą wioską biskupa płynęła głęboka i bystra rzeka, którą się przebywało po moście; na nim spotkali innego chłopka, co powracał z jarmarku z miasteczka i niósł w ręku nowy postronek. Kiedy chłopek nisko się biskupowi pokłonił, Gabryel ręką skinął, a wnet chłopek zadrżał cały, stanął chwilę skamieniały, potem ciało jak wąż zwinął, i potoczył się jak kłoda, z mostu w rzekę jak pień runął; zaszumiała tylko woda, i w jej falach biedak zginął. Czyn ten Gabryela tak zdał się biskupowi zbrodniczym, że zaraz za przybyciem kazał go okuć w kajdany i wtrącić do więzienia o chlebie i wodzie.

Nazajutrz wzruszony litością, pragnąc znaleść go mniej winnym, przyzwał przed siebie Gabryela i przedstawiwszy mu całą nietrafność postępowania, kazał mu się z niego przed sobą usprawiedliwić.

— A najprzód, powiedz mi rzekł, z jakiego powodu, kiedy wszyscy leli łzy boleści nad utratą dziecięcia, ty jeden się radowałeś?...

— Bo ja tylko jeden, odrzekł Gabryel, wiedziałem o tem, iż dziecko to gdyby było pozostało przy życiu, byłoby sobie zgotowało potępienie. Zepsute pieszczotami nieoględnych rodziców, byłoby zapomniało o Bogu i puściło się na drogę występków, kiedy dziś zabrane w niewinności, pomnożyło grono niebieskich aniołów. Śmierć jego ocaliła nawet rodziców, którychby Bóg za złe wychowanie dziecka musiał był ukarać; dotknięci jego palcem wrócą na jego ojcowskie łono i w religii

zaczerpną siłę do zniesienia swej boleści, w której zbawienie się mieści.

— Któż więc jesteś, że to wszystko z hardem mówisz czołem?

— Wiedz, że jestem Gabryelem, niebieskim aniołem.

Biskup mocno się tem zdumiał, że zwarjował, tak rozumiał; lecz go jednak dalej bada:

— A w owym starym pałacu, gdzie się wszyscy radowali ze śmierci nielitościwego i nieużytego skąpca, dlaczegożeś tak jęczał i szlochał?

— Bo całe niebo jęczy i płacze nad utratą duszy chrześciańskiej. Bóg dobrotliwy przedłużał mu lata nad zwykły wieku zakres, w nadziei, że wejrzy w siebie i poprawi się. A on zatwardziały grzesznik, duszę swoję zaprzedał mamonie, i dziś w wiecznym ogniu płonie. Jakże więc boleć nie miałem, kiedy dobrze to wiedziałem, że zagubił duszę z ciałem.

— A dlaczegóż znowu, mówił dalej biskup, upadłeś na kolana, oddając pokłon chłopkom przed karczmą zapijającym?

— Bo chłopki wspomnieli w rozmowie imię Trójcy Przenajświętszej, a na każde takie wspomnienie, całe niebo pada na kolana i bije pokłony.

— Dotąd wykręcałeś mi się dość zręcznie, ale z tego mi się nie usprawiedliwisz, żeś strącił jakby siłą czarów do rzeki człowieka, który ci nic nie zawinił?

— Człowiek ten, odrzekł Gabryel, wracał od spowiedzi, którą sumienie swoje w zupełności oczyścił; w powrocie kupił w miasteczku nowy powróz, z którym szedł. Otóż djabeł czychający na każdą ludzką duszę, zaczął mu szeptać, ażeby przy pomocy tego powroza skraść sąsiadowi pozostawioną na paśniku krowę. Umysł to słaby, niezadługoby uległ czartowskiej pokusie. Ocalając więc jego duszę, Bóg miłosierny kazał mi zniszczyć jego ciało, które strąciłem do wody, na radość nieba, a ciężkie piekła zmartwienie.

— A ówże człowiek z butów zapasem?

— Umarł dziś w nocy w chacie pod lasem.

Posłał biskup do wskazanej chaty i przekonał się, że Gabryel prawdę powiedział, gdyż chłopek ów rzeczywiście tejże nocy Bogu duchał oddał. To dało mu do myślenia. Przyzwał więc nanowo przed siebie Gabryela i rzekł:

— Kiedyżeś jednym z niebieskich gości, ukażże mi się w takiej jasności, w jaką się stroisz zwyczajnie w niebie.

A Gabryel mu na to:

— Chociaż świątobliwy panie, dziwne twoje jest żądanie, wszakże mu się zadość stanie; i waruję to jedynie, byś nim czasu miesiąc minie, zebrał jedenastu gości, równej jak twoja świętości, a od dziś za miesiąc w północnej dobie, ukażę się aniołem i onym i tobie.

I wnet biskup rozpisał zapraszające listy do znajomych sobie ze świątobliwego życia biskupów i kapłanów, a tymczasem Gabryel oczekiwał w więzieniu dnia próby. Gdy dzień ów i godzina nadeszły, a gospodarz i zebrani goście po przygotowaniu się nabożeństwem i modlitwami do niebieskiego widzenia, oczekiwali w kornem zebraniu ducha na spełnienienie obiecanego cudu, wszedł Gabryel. Od twarzy jego cudnej urody zaczął bić blask niezwykły, szaty ludzkie z ciała znikły, mieniąc się białą osłoną. Czoło blaskiem uwieńczone, i blask taki z jego lica, iż żadna ludzka źrenica nie mogła go wcale znosić. Świętym ogniem oczy błysły, śnieżne skrzydła z bark wytrysły; a gdy z piersi dobył tchnienie, wszyscy wpadli w zachwycenie, gdy jął Bożą chwałę głosić.

A gdy się po pewnej chwili z zachwycenia przebudzili, zniknął anioł śnieżnopióry, tylko śpiew cudnej piękności, śpiew zwycięztwa i radości, doszedł ich na chwilę z góry. Biskup się tylko nie budzi, próżno się ten i ów trudzi; proźno targa i porusza, bo już z ciała znikła dusza; bo ją za Bożym rozkazem, wziął anioł ze sobą razem, po nagrodę za jej cnoty, za świętą służbę ołtarza, za otarcie łez sieroty i przytułek dla nędzarza!

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 1 (13) maja 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*